

Przeszłość do samodzielnego montażu [FELIETON]

Czy obraz przeszłości można sobie ułożyć samemu, jak kolaż? Z rekwizytów – owszem, z różnych opowieści – trudniej. Ale Piotrowi Siemionowi się to udało – pisze Wojciech Stanisławski w nowym felietonie z cyklu „Barwy kampanii”.

Rozsypywanie się zgody na prawdziwość podstawowych faktów i danych jest czymś fatalnym. W sporach między ludźmi, grupami politycznymi i państwami nigdy nie brakowało przemocy i podstępów, ale tym bardziej może rozmowy, w której obie strony powołują się na powszechnie uznane fakty, uważano za ostoję sprawiedliwości i ładu. W świecie, w którym nie ma zgody co do natury epidemii czy *chemitrailsów*, istnienia (lub nie) ofiar masakry w Buczy, właściwie niewielki jest już sens rozmowy: pozostaje regres do przemocy, ten ma rację, kto silniejszy. Rand Corporation, której zawdzięczamy termin „Truth Decay”, od czterech lat bada na dużą skalę ten fenomen rozpadu pojęcia prawdy i nie ma wątpliwości: z roku na rok jest gorzej.

Łatwiej jednak (przynajmniej teoretycznie) o zgodę w kwestii wirusa czy pochodzenia pocisków, tkwiących w potylicach ukraińskich cywilów: są to w końcu fakty sprawdzalne empirycznie. Gorzej z wizjami przeszłości, zwłaszcza w sytuacji, gdy nie chodzi o ustalenie prawdziwości pojedynczego faktu, lecz o tworzenie perspektywy minionego czasu. Buduje się ją jak z cegiełek, którymi są wydarzenia,

prawidłowości, powszechnie przyjęte interpretacje. Jak długo można jednak grzebać w tym pudle z klockami, jak wiele można ich wziąć i czy da się je łączyć w dowolny sposób?

Różnie z tym bywa. Nad koniecznością wyboru klocków reprezentatywnych, skoro nie można mieć wszystkich, badacze dyskutowali już ponad wiek temu. Historiografia, prześmiewczo zwana „pozytywistyczną”, znalazła się pod ostrzałem entuzjastów nowej historii już z pół wieku temu, i człowiek odruchowo ma ochotę biec jej z pomocą. Można jednak być obrońcą reguł warsztatu – i entuzjastą kolażu, bric-à-bracu, miszmaszu, jeśli mamy do czynienia z fikcją. Rzeczywistość stała się zresztą potężną ostrogą, skłaniającą ku takiemu myśleniu: dawniej różne epoki zderzały się ze sobą w „Mad Maxie” czy rymowance o Kara Mustafie, wielkim wodzu Krzyżaków, w niezliczonych pulp fictions z półki fantasy walczone na miecze stalowe i świetlne. Dziś z podobną rozpiętością broni i taktyk naprawdę mamy do czynienia na Ukrainie, gdzie naprzeciwko siebie stoją ordy i hakerzy, telefony na korbkę i androidy, Starlinki i podrdzewiałe czołgi wyciągnięte z kamczackich magazynów – a polską wyobraźnię dodatkowo łechce fakt, że ukraińskie wojska organizują zasadzki pod Jampolem. Co prawda Jampol z „Trylogii” leżał i leży nad Dniestrem, a niedawna potyczka z moskiewskimi najeźdźcami miała miejsce pod Jampolem/Jampiłem w rejonie kramatorskim, ale i tak miło.

Ale w prawdziwym historycznym amalgamacie nie chodzi przecież o mechaniczne zsypanie do jednego worka różnych rekwizytów: kiścień z karabinkiem, F-22 Raptor oraz *na smokach* wojska latające – i mamy pomieszanie czasów? Nie, ambitnym posunięciem jest zderzenie nie przedmiotów, lecz różnych obrazów i opowieści („narracji”), różnych perspektyw i prawd. Da się?

*Powieść Siemiona została tam
przedstawiona jako
„komentarz do dzisiejszej
Polski: podzielonej, wrogiej
>obcym<, rządzonej
resentymentem i pozbawionej
wizji przyszłości”*

Udało się Piotrowi Siemionowi. „Bella, ciao”, opublikowana w tych dniach, jest powieścią wybitną, brutalną i piękną. Dziesiątki fraz, które mogłyby trafić do każdej wojny z wypisów szkolnych,

od drugiego zdania w książce, więc trafi na nie najbardziej nawet powierzchowny recenzent („Wokół mają bezpieczny świat – skrwawione prześcieradło ziemi, całun o świcie (...), zdeptane boisko millenium”), po „na tle dalekiej tafli równiny mającą patyki kościołów”, kilka stron dalej, po „opętańczy młyn morza”, przez widziane w ostrym błysku wyobraźni tynki, wagony, twarze, aż po słowa, które mogłyby stać się osobnym wierszem, tak są świetne – te o topielcach ze statków ewakuacyjnych, „krążących drugi rok między słojami słonych wód”. Słojami. Słonych. Wód.

Z tym że uwaga, to nie jest proza wysokokulturalnego Pawła Huelle lub Jacka Dehnela, którzy flanelową szmatką gładzą porcelanowy kurek kranu z jasnobłękitnymi literami „Kaltwasser”, a przemocy jest u nich tyle, ile trzeba, by zgodziła się buchalteria fabuły. To Siemion, którego bohaterowie, tak samo jak w „Niskich łąkach”, wyposażeni są w niepokojącą, bo cechującą tylko psy wojny i psychopatycznych morderców zdolność przejścia do przemocy bez żadnych znaków ostrzegawczych, w pół gestu. To powieść tak wiernie pokazująca zdziczenie, które przynosi wojna, że jedni, piszący o niej, mają ją za

„książkę profetyczną”, napisaną jeszcze przed nowym kataklizmem ogarniającym Europę Wschodnią, inni za pierwsze udane polskie post-apo. Ja znalazłem w niej co innego.

Siemion znakomicie miesza proporcje bezczasu i konkretności: pierwsze sceny, z siedmioosobową bandą/drużyną przemykającą przez labirynty srebrnych buków i zmarzłe liście rzeczywiście zakrawają na powieść postapokaliptyczną, pozaczasową, bliską współczesności. Potem kolejne rewizyty i sceny jak z „Pieszko” czy „Prawa i pięści” osadzają nam bohaterów „Bella, ciao” w świecie roku 1945, chaosu i bezprawia bardzo dalekich Ziem Odzyskanych – ale do czasu, dobry autor jest od tego, żeby wyrwać czasem czytelnikowi spod nóg chodniczek pewności, więc z pojawieniem się eszelonu jeźdźców, *dembeli*, sztrafnego batalionu znów powraca przemieszanie epok jak z „Czaszki w czaszce” Piotra Wojciechowskiego. To z kim właściwie była ta wojna, z Hitlerem czy z NATO, skoro, jak mówi były porucznik Połkan, „fugasami smażyliśmy białe mięsko Europy”? Kto się w niej pojawia, Odwieczna Rosja? Nie, coś więcej: odwieczny strach. A chronologiczne przeciąganie liny między połową XX w. a współczesnością trwa przez całą powieść: raz kuter na dwutakt, raz ambulans z delikatnym silnikiem diesla. Porucznik Dred ksywę wziął z filmu Pete Trávisa z 2012, ale piosenkę o Natalii, podobnie jak wizję Imperium Słowiańskiego, przyswoił chyba raczej w Uderzeniowych Batalionach Kadrowych?

Bo „Bella, ciao” jest przecież tak naprawdę powieścią o narodzie z wiersza Miłosza. Tym, który „koczuje na targowiskach, porozumiewa się żartem, / handluje starymi klamkami ukradzionymi w ruinach. / (...) w pomiętych czapkach, z całym dobytkiem na plecach, / idzie szukając siedzib na zachód i na południe”. Czy na pewno nie zdarzy nam się to po raz kolejny?

Jest też o zderzeniu racji, które miało miejsce 80 lat temu. Nie racji AK-owców i kabewiaków – tu zgody być nie może, ten zbawidowski postmodernizm Mieczysława Moczara zetlał już dawno. Myślę o racjach tych niezłomnych, zaszczytów – i tych, którzy usiłowali coś zrobić. Postawić piec, wstawić szyby w oknach szkoły, żując upokorzenie i łaskę, którymi karmili ich Sowieci. „Chleby upieką się nowe nam”.

*W sporach między ludźmi,
grupami politycznymi i
państwami nigdy nie
brakowało przemocy i
podstępu, ale tym bardziej
może rozmowy, w której obie
strony powołują się na
powszechnie uznane fakty*

Pierwsi zostali
wybici do nogi lub
skuci. Drugim
zafałszowano ich
historię, podniesiono
na fałszywy
piedestał
„budowniczych
Polski Ludowej”,
wciśnięto im – w
1945, i 2015 na nowo
– zerojedynkową

narrację i morderczą rywalizację „pan/cham”. Przymierze między pułkownikiem Szestem i porucznikiem Bystrym, czyli między panem Tyńskim a Gamonem, w rzeczywistości w 1945 roku nie mogło się zawiązać (choć...). Ich powieściowe współdziałanie, podjęte bodaj na chwilę, by uratować przed straszną śmiercią bieżących w pomiętych czapkach przybliży nas na moment do „odwiecznego narodu”, w którym, jak w Żmijce, w trwaniu dłuższym niż wojny i stulecia mogą spotkać się różne racje, które nie dały rady ustać obok siebie w realnym świecie. Ocalenie przeznaczonego na całopalenie tłumu, triumf w

konfrontacji z czystym złem jest – tak, biorę poprawkę na czytelniczą adrenalinę i żelazne wymogi dobrego scenariusza, ale nic nie mogę poradzić: budujący.

I stąd to niegasnące moje zdumienie blurbem, który znalazł się na tylnej okładce książki. Powieść Siemiona została tam przedstawiona jako „komentarz do dzisiejszej Polski: podzielonej, wrogiej >obcym<, rządzonej resentymentem i pozbawionej wizji przyszłości”.

Tak, ja wiem, że wydawnictwo Filtry, jedno z najbardziej dynamicznych dziś w Warszawie, ma bardzo jednoznaczne poglądy. Deklaruje to w preambule na swej stronie („Prezentujemy autorów, którzy interpretują na nowo – wydawałoby się – znane nam dzieje, demitologizują, rewidują, patrzą pod innym kątem”) i publikacjami kolejnych prac historycznych, z których najpociesznieszczą pozostaje „Historia Polski bez martyrologii” Briana Porter-Szúcsa (muszę kiedyś znaleźć czas na jej małą refutację). Och, nie lubią Filtry martyrologii, nie lubią tak gorąco, jak lubią – znów cytaty z preambuły – nowoczesność i cywilizację.

Co zresztą pozostaje ich znakomitym prawem, podobnie jak różnego rodzaju zabiegi marketingowe, których imają się wydawcy: wiadomo, czasem przyda się pojedynek lub romans pisarza, a czasem niewiele mająca wspólnego z treścią, lecz nader atrakcyjna okładka, czego najboleśniej może doświadczył autor tak wybitny jak Kilgore Trout. Ale żeby zinterpretować „Bella, ciao” jako „komentarz do dzisiejszej Polski”? Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że jest to – mamy w końcu do czynienia z powieścią wojenną, proszę więc pozwolić mi na to militarystyczne sformułowanie – o jeden *shot* za daleko.

Wojciech Stanisławski